

A ja schnąc się pochylam i na mojej twarzy dotykam twej kory

Salvatore Quasimodo

Pochyliłem się nad tobą Drzewo. Nie dlatego, że jesteś jednym z milionów, lecz z powodu tego, że jesteś jedyne, Ty. I stoisz na tym pustkowiu od dziewięćdziesięciu lat. Przychodzę do Ciebie raz w miesiącu, aby opatrzyć ci rany. Ale to Ty mnie pocieszasz i mnie goisz, leczysz, przemieniasz. Stojąc tam na otwartej przestrzeni, jesteś Drogą. Wskazujesz kierunki i odpowiadasz wciąż na moje bezgłośnie pytania. Masz na imię to wszystko co widzałeś, to czego nikt ci nie odbierze. Czego nie da się kupić ani przyspieszyć. Czas. Snujące się lata, warkocze światła, ślady życia, które kryjesz w gałęziach i liściach. Przyśnione światy dzieciństwa, które wracają i mierzą się z tym co odległe i obce.

Jedynie Ty, w tej ubogiej formie życia, jesteś w stanie unieść moje chłodne ciało ku niebu. Liczę na twój dobry, mocny uścisk i bliskość, za którą tęskniłem całe życie. Dlatego przywlokłem się dziś do ciebie kolejny raz. Dotarłem tu resztkami sił, dysząc i charcząc jak zdezelowany traktor. Może to będzie najpiękniejszy koniec jaki mogę wymyślić dla siebie? Tylko Ty i ja na tej planecie i oceany lat zrosnięte w korzeniach, przez które świat nigdy się nie przedostanie, nie precieśnie, nie znajdzie drogi powrotnej, jak ja. Tymczasem nie tylko Ty, ale i inne drzewa, wychodzą ze mnie, a ja z nich wyczołguję się i nie mogę wyjść, nie mogę się wyplątać z tej plątaniny gałęzi i nie wiem co dalej. Może zamienię się w ptaka i będę wiał swoje gniazdo trzymając się kurczowo powietrza?

Patrz na mnie. Schnę i próchnieję. Widzę to, gdy patrzę na swoje stopy, które z roku na rok milkną coraz bardziej w pieśni się nużając. Dlatego właśnie zacząłem spisywać te losy zagubionych ludzi, aby spokojnie pogasić światła i odpocząć w cieniu wielkiego Ty.

Dziś zjadłem na śniadanie cztery jajka i pomidora. Potem chodziłem po łące i bez problemu wróciłem do domu, czyli do ciebie. Mimo, że zapominam niemal wszystko i gubię się bez przerwy, do ciebie trafiam zawsze. Ściągasz mnie wzrokiem, ciepłem. Łapiesz za rękę głaszcząc po głowie gdy drzę. Dobry chłopiec, mówisz, dobry, zaśpiewaj synku w ogniu mojego ciała. Tysiące lat. Trwanie. Drogowskazy. Wbity w ziemię przedłużam i podtrzymuję puls. Wygrzebuję się z ciała innych ciał i pełzną nagi przez las. Od dzisiaj ja będę znakiem, zapuszczę korzenie, wygnę się na wietrze. Będę słuchał brzęczenia szerszeni i pchał wędrowców ku brzegom.

Widzisz, zaprosiłem cię, aby opowiedzieć ci kolejną przygodę, której – jak myślałem – nie zapomnę nigdy, a tymczasem od kilku dni nie mogłem przypomnieć sobie szczegółów. Co się wówczas stało? Jak się skończyła ta wyprawa przez nadrzeczne bagna i pustkowia, gdy brodziliśmy pośród drewnianych pali wbitych po uszy w ziemię pachnącą i cichą.

Jechali na wschód kraju już od kilku godzin. Wyruszyli nocą, gdy waliły w nich gwiazdy ogromne jak rozpalone gorączką głowy. Gnali ku świerszczom i owadom. Ona ku zgliszczom pamięci, on traktował tę wędrowkę jak kolejną przygodę. Pociąg, autostop, autobus, potem intensywny marsz w porannym słońcu zdzierającym z nich przezroczyście warstwy mgły. Dotarli do wsi pod wieczór. Gospodarz oparty o płot czekał w umówionym miejscu. Ona uścisnęła mu dłoń, lecz ani razu nie zwróciła się do niego wujku. Skinął na powitanie. On poczęstował gospodarza papierosem. Tamten powąchał go, splunął, wsunął go do ust i nie zapalając, poszedł w stronę rzeki. Podreptali za nim bez słowa. Bug rozlewał się setkami meandrycznych dróg, z których żadna nie wiodła do celu.

Gdy dotarli do chaty było już ciemno. Latarki strącały z drzew ciężkie krople wody. Gospodarz pokroił chleb, nalał im dwa talerze solianki. Gdy zjedli przyniósł butelkę khortytsy, dokładne mapy, wojskową latarkę, ostry nóż i gumowce. Zaznaczył na mapie cztery punkty i zaśmiał się serdecznie – nu maładcy – powiedział i poklepał go po plecach, a ją lekko trącił wysuszoną ręką. Ona wychyliła kolejny łyk wódki i wstała od stołu. Idę spać – podreptała, lecz nie zasnęła przez najbliższą godzinę. Drapała paznokciem w ścianę, aż wydrapała żleb rzeki.

Wyszli przed wschodem słońca krojąc światłem latarek wielkie plastry ciemności. Maszerowali bez przerwy. On wytyczał rytm, ona pogwizdywała. Zatrzymali się dopiero, gdy słońce zaczęło nadgryzać ich twarze, a komary skrzydełkami oblepiały ich spoczone ciała. Nie rozmawiali zbyt wiele. Wyczerpana padła w wysoką trawę. Podał jej wodę. Zamiast pić, oblała twarz i zmoczyła włosy. Oszczędzaj – powiedział niezadowolony. Wówczas zaczęła pić, dysząc głośno, ocierała pot z twarzy.

Po chwili poszli dalej w stronę odległych prześwitów pomiędzy drzewami. Za lasem rozciągała się przestrzeń tak wielka, że zaczęli się śmiać, gdy ujrzeli jej cudowny bezsens. Przed zapadnięciem zmroku rozbili namiot. Ogień palił się blisko nich dopóki ich nie rozdzielił, nie wszedł między mężczyznę i kobietę, nie podpalił krążących w okolicy czarnych myśli.

Przez kolejne dni posuwali się naprzód chodząc codziennie od wsi do wsi, podążając wytyczonym przez gospodarza śladem, który zakreślił im na mapie mówiąc, że tam dokąd chcą pójść pewnie niewiele już zostało. Według wytyczonej trasy byli już niedaleko. Chłopi wskazywali im dotychczas drogę, ale ostatnie chaty, które były w okolicy zostały daleko za nimi. Dalej prowadziła ich cisza drzew, która podpowiadała im kierunki i wytyczała lęk. Popatrz, to jest ta rzeka, którą zaznaczył wujek, wskazała niebieską kreskę na mapie. Weszli do wody, rozebrali się do naga i pozwolili rzece zmywać z nich piasek i zaschnięte plastry potu.

Podczas wędrówki mijali wielkie wilgotne drzewa porośnięte mchem, kurhany i kopce z wytarganymi z ziemi dumnymi kośćmi, które przed laty brały udział w obrzędach zamówin i harełki, kiedy to młodzieniec przybywał, aby ujrzeć światło bijące od panny. Ona szła niespokojnie, zasnutą opowieściami, które pamiętała z dzieciństwa i duszoszczypatelnyimi pieśniami śpiewanymi przez babcie. Tam już niewiele zostało, powtarzała w duchu i szła coraz szybciej, starając się skracać postoje. Czasem milczała pół dnia, znikając w sobie, wsłuchując się w głosy bagien, ols i borów, wpatrując się w ślady bobrów, jeleni i wilków. Jako mała dziewczynka biegała po tych śladach wołając zakłęcia, nazywając drzewa imionami dawno wymarłych plemion i słowiańskich ludów. Bywały jednak chwile, gdy opowiadała mu rodzinne historie, tragedie i dramaty, które niegdyś uspione, teraz wypływały na wierzch gotującej się w niej wody. Wówczas mówiła szybko i niedbale, szczebiotała jak podłotek, śmiała się i łapała go znienacka za rękę. Czuli się wówczas szczęśliwi i wolni. Rzucali się w łąkę, aby utulić polne kwiaty, ona śpiewała mu smutne pieśni, a on recytował jej wiersze ulubionych poetów.

Po tygodniu wędrówki wiedzieli oboje, że zgubili drogę, że idą na oślep nie spoglądając już na mapę lecz na drzewa, na słońce i rozdarte, rozgwieżdżone niebo. Brnęli dalej pchani głodem i ciepłem zrosniętych ze sobą drzew, które zagradzały im drogę, podczas gdy oni wykończeni i głodni wciąż parli naprzód. Kończyło im się jednak jedzenie, a gotowana co rano woda musiała im wystarczyć aż do zmroku. On przekonywał ją, aby się jeszcze powłóczyć przez kilka dni odbijając na południe gdzie spodziewał się dotrzeć do jednej z kilku wiosek, które powinny się znaleźć na ich drodze. Ona chciała powrócić na właściwy szlak, aby odszukać wioskę gdzie się urodziła, nawet jeżeli zbyt wiele z niej nie pozostało. Przecież nawet nie wiemy gdzie jesteśmy, upierał się, zeszedliśmy już daleko z wytyczonej trasy. Ona mówiła o grobach, do których musi dotrzeć. Przyjechałam tu przecież tylko z tego powodu! To dla mnie bardzo ważne, myślałam, że to rozumiesz! Możemy umrzeć tu z głodu i wyczerpania, krzyczał, coraz bardziej wściekły i przerażony. Jeśli pójdziemy w złym kierunku wejdziemy w największą dzicz. Urodziłam się tutaj, wskazała na drzewo, rosnę tu, nie widzisz mnie? Nie

zamierzam się poddać. Gdy zaczęła płakać, przytulił ją, ale wymknęła mu się i przyspieszyła kroku.

Po drodze napotykali wbite w ziemię drewniane bale wskazujące kierunek: niebo. Nie wiedzieli kto je umieścił w bezludnym terenie, ale zachwycali się nimi, czując że sprowadzą ich na właściwą drogę. Istotnie, następnego dnia dotarli do szutrowej drogi, którą doszli do niewielkiej osady. Tam ich drogi niespodziewanie rozeszły się.

Wyjechał porannym autobusem, uprzednio próbując wytłumaczyć jej dlaczego musi wracać. Rób co chcesz, jesteś wolnym człowiekiem, chyba że się mylę? Gdy odjeżdżał, stała przy drodze i patrzyła jak znika wewnątrz pojazdu, siada na miejscu przy oknie, przykleja nos do szyby i macha do niej. Nie odpowiedziała żadnym gestem. Wpatrywała się w kolorowe chaty. Uzupewniła zapasy jedzenia i poszła poszukiwać kogoś we wsi, kto podrzuci ją terenowym wozem w pobliże rodzinnej wioski.

Wówczas nie wiedzieli jeszcze, że na kolejne spotkanie będą musieli zaczekać kilka najbliższych lat. Ona nie miała pojęcia co spotka ją za chwilę na rodzinnej ziemi, on nie wiedział właściwie dlaczego od niej uciekł. W czasie jazdy powrotnej wspominał napotykaną przez nich bale drzew wbite w żyzną ziemię, ich zapach, spokój, drogę którą pokonują każdego dnia i drogę, którą rozważają w ciszy. Poczł się nieszczęśliwy. Zasnł. Obudził się setki kilometrów dalej, w miejscu z którego nie widać innego świata, niż ten porzucony.